



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Widok katedry krakowskiej na Wawelu po odnowieniu.

Pogadanki z dziedziny chemii.

III. Jakie ma własności siła chemiczna.

Chemiczna siła przyciągania najjaskrawiej okazuje swe niepodobieństwo do innych sił wtedy, gdy do pewnego stopnia przeciwdziała im.

Widzieliśmy, że żelazo łączy się z tlenem, a zatem pomiędzy temi dwiema substancjami musi działać jakaś siła przyciągająca, która sprawia, że każdy atom żelaza wybiera sobie odpowiednią porcję tlenu i tworzy z nią rdzę. Kawałek żelaza, któregoobyśmy nie potrafili z natężeniem wszystkich swoich sił oderwać od całości i którego atomy trzymają się mocno pomiędzy sobą, rozpada się bez żadnego wpływu siły zewnętrznej na proszek czerwony, a to dlatego, że atomy tlenu wniknęły pomiędzy atomy żelaza i zniszczyły ich wzajemne przyciąganie się.

Z tego należy wyciągnąć wniosek, iż żelazo ulega tak wielkiej sile przyciągającej do tlenu, że przez to traci siłę przyciągającą jego własne atomy. Rzecz szczególna jednak, że tak potężne chemiczne przyciąganie nie przejawia się wcale, skoro oddzielimy powierzchnię żelaza od powietrza cieniutką warstewką tłuszczu. Ztąd domyślamy się, że chemiczne przyciąganie jest siłą nietylko odmiennej natury, aniżeli przyciąganie pomiędzy atomami ciał stałych, ale także, że jest to coś zupełnie innego, aniżeli przyciąganie mas, które, jak wiadomo, odbywa się na znaczną odległość.

Wybraliśmy dla tego rdzewienie żelaza za przykład, gdyż każdy obserwował niezawodnie to zjawisko. Istnieją jednakże inne substancje, pozwalające spostrzec zupełnie podobne zjawisko, naprzykład metal zwany potasem, który jest bardzo miękkim i podobnym do srebra; ma on tak silne powinowactwo do tlenu, że nie można go przechowywać na powietrzu, tylko w nafcie, która nie zawiera tlenu. Pomimo jednak tej nadzwyczajnej skłonności wzajemnej, potas nie łączy się z tlenem, jeżeli go oddzielić od tego gazu najcieńszą choćby warstewką nafty. Ten przykład uczy, że chemiczne przyciąganie jest zupełnie odmiennem od przyciągania między masami, np. między dwiema kulami metalowymi.

Jeszcze mniej podobieństwa ma chemiczne przyciąganie do przyciągania magnetycznego, które jest czynne na znaczną odległość. W końcu pomiędzy przyciągającą siłą chemiczną a siłą magnetyczną dostrzegamy tę różnicę, że siła chemiczna działa tylko miejscowo, magnetyczna zaś rozchodzi się na całe ciało: żelazny pręt może zardzewieć tylko z jednego końca, jeżeli zaś go namagnetyzujemy, to magnetyzm udzieli się i drugiemu końcowi.

Jeszcze bardziej chemiczne przyciąganie różni się od elektrycznego. Nie obserwujemy tutaj rozchodzenia się siły po powierzchni przedmiotu, poddanego jej działaniu. Daremnie byśmy łączyli drutami naczynie, w którym się odbywa jakieś chemiczne połączenie z innym naczyniem, aby i w niem wywołać takie same zjawisko.

We wszystkich siłach przyrody obok siły przyciągającej działa siła odpychająca. Nie obserwujemy tylko tego na sile chemicznej. Siła, z jaką jedna substancja przy-

ciąga drugą, z którą się ma połączyć, musi być, jak przypuszczamy, bardzo wielką. Wielkości tej siły nie potrafiliśmy zmierzyć wprost, ale domyślamy się jej choćby z tego faktu, że pod jej działaniem najmocniej trzymające się ze sobą cząsteczki stali, rozłączają się. Pomimo tak silnego przyciągania nie zauważono nigdy siły odpychającej; wszystkie zjawiska chemiczne dają się objaśnić działaniem siły przyciągającej bez współdziałania żadnej innej przeciwdziałającej potęgi.

Wł. U.

Zofia Kowerska.

W SUCHOWSKIM DWORZE.

(Dalszy ciąg.)



an Zabrzski pisywał częste listy, ale bywały takie dni, w których listy nie przychodziły, a pani Zabrzka nie sypiała z niepokoju po nocach. Były to dni przeprawy „tatuńcia” przez ocean. Na szczęście Pan Bóg nie dał człowiekowi daru jasnowidzenia, gdyż dar ten byłby niezawodnie zabił panią Zabrzską, okręt bowiem niosący jej męża po Atlantyku, wystawiony był podczas przeprawy na straszną burzę. Pan Zabrzski był tak pewien rozbicia, iż przygotował się na śmierć zupełnie. Wypowiadał się, gdyż na statku znalazł się ksiądz, a potem napisał testament i rady dla swych dzieci, w których zaklinał synów swych, by nigdy nie schodzili z drogi prawdy, uczciwości i miłości bliźniego. Żonę swoją żegnał w najczulszych wyrazach i błagał, by miała siłę żyć dla swoich dzieci. Napisawszy to wszystko, położył dokładny adres Suchowa i jego mieszkańców, wsunął napisany testament do pustej i suchej butelki, zakorkował mocnym korkiem, zawiązał drutem, zalakował i rzucił na spienione fale. Następnie w inną butelkę, równie starannie zabezpieczoną od zamknięcia, włożył pieniądze, a także papiery ważne. Butelkę tę przywiązał na mocnym sznurze na własnej szyi i schował.

Potem opasał się pasem korkowym, zwanym *pasem ratunkowym* i gorąco modlił się począł. Polecał opiece Boskiej żonę swoją i dzieci, a szczególnie błagał Trojcę Przenajświętszą i Matkę Boską, by z dzieci jego wyrosli pobożni i cnotliwi ludzie. Żałował życia, ale modlitwa dopomogła mu do spoglądania z poddaniem się woli Bożej, na napełniający się wodą coraz bardziej statek i na szal bałwanów, rzucających się na okręt, jak na niezawodną zdobycz.

Biedny „tatuńcio” w chwili, gdy sądził, że śmierć była nieunikniona, uprzytomnił sobie swoją ukochaną gromadkę. Ujrzał najdroższą żonę pełną smutku, z tęsknotą w sercu za utraceniami a niezapomnianymi dziećmi; ujrzał śliczną, anielską Zosię swoją pieszczochę i największą ozdobę swego domu; potem jak żywy stanął przed nim Zdziś, junak, o szlachetnym sercu, a zapalanej głowie; po chwili wyjrzały ku niemu dobre oczy Józia, trochę ślamazarnego a tak dzielnego duchem, że chciał się w przyszłości poświęcić bliźnim, z zupełnym zapomnieniem o sobie. A najmłodsza para! Alusia, pełna współczucia dla wszystkiego co cierpiało, z nieszczęśliwym upodobaniem do kankarów i do kotów jednocześnie, biedna „pani generałowa,” która na samą myśl o wojnie zalewała się łzami! A Jancio! Ah, już nigdy, nigdy nie wdrapie się on na kolana ojcowskie i swojej jasnej główki z aureolą puszystych włosów nie oprze na jego piersiach! Kochana, najmłodsza

dziecina nie będzie miała do pomocy przy wychowaniu wpływu i miłości ojca. Tak, ale będzie miała pomoc starszych braci! Pan Zabrzski był pewien, że mógł liczyć na Zdzisia i Józia. Oni będą czuwać nad Jańciem w szkołach i nie dadzą mu zejść na złą drogę!

Właśnie gdy to myślał pan Zabrzski, okręt wyrzucił się na bok; rozległ się trzask łamiącego się masztu, co wraz z rykiem bałwanów utworzyło jakiś zgrzyt niewysłowiony, potem zaległa na chwilę ciemność, gdyż ciężar własnego ciała spadającego z wyniesienia, popchnął pana Zabrzskiego pod wodę, wreszcie znowu światło dzienne zabłysło przed jego wzrokiem, pas ratunkowy bowiem wyniósł tonącego na powierzchnię bałwanów, gdzie bezwiednie i zupełnie bezprzytomnie chwycił za odłam masztu, który mu dopomógł do utrzymywania się na wodzie. Była to walka o życie, walka straszna, wśród której chwile bezprzytomności przeplatane były myślą o oddalonej rodzinie. Myśli te wydawały się rozbitkowi czemś tak słodkiem, jak wspomnienie szczęścia i była taka chwila, w której po gorącym błaganu Boga w modlitwie o ocalenie, dziękował mu za to, co w życiu danem mu było doznać dobrego. Dziękował Mu za domowe ognisko, przy którym było mu zawsze tak ciepło i tak dobrze, i za to, iż w dzieciach swoich nie widział wad groźących ich przyszłości.

— Boże, przyjmij moją duszę do Swojej chwały — szeptały jego zsiniałe usta — a im, ukochanym, daj cnotę i szczęście!

Potem przyszła zupełna bezświadomość i jakby zdziwienie. Ręce zgrabięły od zimna, wpijały się coraz mocniej w drzewo; oczy rozwarły przez grozę i trwogę śmiertelną, szukały bezwiednie w koło czegoś, co mogło być ratunkiem; myśl była jakby sparaliżowana przez zimno, szła bezradziejny i dzika, bezprzytomna rozpacz. I już potem biedny tatuńcio nie wiedział, co się z nim stało. Gdy po długim śnie otworzył oczy, zobaczył przy sobie lekarza, który rzekł spokojnie po angielsku:

— Ten gentleman jest uratowany. Proszę mu teraz dać gorącej herbaty lub kawy.

Okazało się, że bezprzytomnego, jednak trzymającego się jeszcze odłamku masztu rozbitka, okręt płynący też do Ameryki wziął, na wyslaną umyślnie łódź, a potem lekarz okrętowy zajął się ratowaniem jego zdrowia.

Całego tego strasznego wydarzenia pan Zabrzski bynajmniej nie opisał w listach i nawet go nigdy nie opowiedział swojej żonie. Dopiero w parę lat później, dowiedziały się o niem starsze dzieci, zaś Alusia i Jańcio dotąd jeszcze o niem nie wiedzą, by przypadkiem przez roztargnienie nie odezwało się które z nich przy matce ze wzmianką o tem niebezpieczeństwie, z którego pan Zabrzski wyratował się cudem.

W końcu lutego nastąpił znowu mrozy suche, bez śniegu. Tylko gdzieś po rowach, po zagłębieniach, pod płotami i parkanami widać było białe, przypruszone ziemią, brudne płaty stwardniałe tak, że można było po nich chodzić. W jednym miejscu, w polu, gdzie była znaczna niziina, zbierała się woda w czasie roztopów i nie zdążywszy wyparować ani wsiąknąć w ziemię zamarzała. Ten kawałek pola stał się rajem dzieci. Zosia i starsi chłopcy umieli łyżwować, w czem Zdziś był nawet prawdziwym mistrzem i każdą rekreację spędzali na tej rozrywce. Alusia uczyła się dopiero i była pośmiewiskiem swego rodzeństwa, z tego powodu, że pragnęła się ślizgać, a jednocześnie szalenie bała się ślizgawki. Zosia uczyła się wytrwale, Alusia jednak nie odważała się sama ani na jeden krok. Zdarzało się, że Zdziś, podawszy jej rękę i doprowadziwszy ją na środek zamarzonej przestrzeni, potem uciekał od niej, zakreślając koła i łuki, a Alusia stała, nie mając odwagi ruszyć nogą. Na płacz jej się zbierało, błagała o ratunek piskliwym głosem.

— Ciekawy jestem, coby było, gdyby w tej chwili nikt z nas Alusi ręki nie podał — mówił Zdziś — stałaby tak do końca świata!

— Umyślniebym się przewróciła, bo usiąść bym nie mogła... potem odpięłabym łyżwy... i poszłabym po lodzie: na nogach i na rękach.

— Cha, cha, cha! Zostawmy ją tak, żebyśmy się przyrzekli, jak ona to zrobi!

Alusi usta poczęły się przeciągać w podkówkę i była blizką uderzenia w płacz.

— To się lubi mazać! — zawołał Zdziś. — Żeby nie było na świecie płaczu, toby go ta dziewczyna wynalazła!

Zosia i Józio podbiegli z ratunkiem. Gdy Alusia tak między nimi łyżwowała, trzymając się prawą ręką ręki Zosi, a lewą ręką Józia, śmiała się, była uszczęśliwiona i ślizganie stało jej wyśmienicie.

Dla Jańcia stelmach zrobił saneczki. Sadzano w nich Benjaminka, ubranego ciepło, okrywano mu jeszcze nogi szalem i jedno z dzieci, stanawszy z tyłu, gdzie była poręcz, popychało sanki.

— A czemu tatuńcio tak do Ameryki nie pojechał? Czy tamta woda tak nie zamarza jak nasza?

— Jaka woda?

— A ta, przez którą tatuńcio jechał.

Alusia, która się też obok Józia za poręcz sanek trzymała, nie dlatego, by je popychać, lecz że jej samej było tak wygodniej, odparła z wyższością:

— Te dzieci to nic nie rozumieją!

Gromadka wracała ze ślizgawki z rumieńcami zdrowia i zadowolenia na policzkach, a Jańcio wyglądał jak jabłuszko. Włosy jego na mrozie rozsypały się tak, że każdy z nich drgał w powietrzu z osobna, i w koło białej barankowej czapeczki jaśniał w słońcu złotawy puch nieposłusznej czupryny chłopca.

— Jabym chciała, żeby razem były zima i lato — mówiła Alusia — bo i zima jest doskonała i lato także.

— Oj, Alusiu, Alusiu! Onaby chciała w jednej klatce trzymać koty i kanarki!.. chciałyby, żeby jej było razem i ciepło i zimno... Biedny ten generał!

— Dlaczego biedny?

— Bo on nigdy Alusi nie dogodzi.

— To ty twojej sekutnicy nigdy nie dogodzisz!

— Cicho, cicho dzieci! Jak będę księdzem, to was wszystkich zawsze pogodzę!

Pani Zabrzaska nie śmiała radować się zdrowiem i rumieńcami dzieci. Jej nerwy były znowu bardziej rozdrażnione, z powodu oddalenia męża i niepokoju o niego. Przytem koniec zimy był dla niej zwykle epoką najsmutniejszą w roku, gdyż właśnie wtedy przychodziły rocznice dni okropnych, nigdy nie zapomnianych, w których jej dzieci chorowały, następnie opuszczały ją na zawsze.

Pewnego dnia Zosia podczas lekcji starszych chłopców zastukała do pokoju szkolnego. Była blada, usta jej się trzęsły ze wzruszenia, widocznie przynosiła jakąś ważną nowinę.

(d. c. n.)

Trzy chwile z życia królowej Zofii,

przez

Z. Morawską.

(Dokończenie).

II.

Nie wesołe było życie księżniczki Sołki na Witoldowym dworze. Żona jego Julianna skąpa i gderliwa niewiasta, przykra była dla całego otoczenia, nie dziw więc, że i księżniczka Zofia miodem i kwieciami zabarwionych dni nie miała.

Ba, kto tam o miodzie mógł myśleć, jeżeli piołun był prawie na codzienne danie.

Ale Sońka miała szczerą skarby kwiatem prze ślicznym a wonnym w duszy jej rozkwitający.

Miała szczerą wesołość młodości i wiarę w Boga, w tego Wielkiego a Jedyne Boga, o którym jej teraz często mówiono, a też i w czuwającą nad sobą rodzicielkę.

O tej rodzicielce Nada dziewczęciu wciąż opowiadała, a w miarę lat, taka w sercu Sońki ku matce miłość się rozdziała i taka ufność w jej opiekę, iż była pewną, że doła ją jej los zesła, będzie doła przez tę rodzicielkę u dobrych duchów uproszoną. Nie troskała się też i piołun podawany jej w każdym słowie przez księżną Juliannę, nie zdawał się mieć tak wiele goryczy, bo Sońka wesołością swą go słodziła, ba! nieraz nawet i uśmiech na surowe lice żony Witolda wywołując.

I teraz oto, choć miała lat szesnaście, w piękny dzień wrześnieowy, biegła po trawniku zamkowym nad jeziorem i ze śmiechem ręką chwytała promienie słońka, przedzierające się przez wielkie konary, stojącego na środku dziedzińca dębu, a w pogoni za nimi skoczyła i usiadła na gałęzi.

— Ależ zwinna i ładna! — mruknęła księżna Julianna. A po twarzy jej przemknęło coś nakształt uśmiechu, bo się ta wesołość Sońki nawet zgryźliwej księżnie udzieliła.

— Ot, dziewczka, czasby jej czepiec włożyć a nie dziecić się! — syknęła z niezadowoleniem służebna.

— Moja księżniczka, moja królewieńka złota! — mówiła z uśmiechem na pomarszczonej twarzy stara Nada, patrząc na swą Sońkę z za węgla baszty.

— Gdzie Sońka. Sońka! — zabrzmiał głos księcia Witolda, który stanawszy we drzwiach, rozglądał się po dwórkach swojej małżonki.

— A ot! — wskazała służebna ruchem głowy na drzewo.

— Kuku, kuku! Tiu, tiu, tiu! — ozwał się głos Sońki, naśladowający po kolei wszystkie ptaki.

Rycerska twarz księcia nasrożyła się jakoś. Nie lubił, żeby wołany nie pośpieszył na jego rozkazy. Gdy jednak spojrział w górę i ujrzał różowe, śmiejące się listki Sońki wśród ciemnych liści, rozchmurzył czoło i mimowoli szepnął:

— Istna Milda *). Przybrał jednakże wyraz powagi i zawołał głosem rozkazującym:

— Sońka, bywaj.

Sońka tym samym sposobem co weszła, spuściła się teraz na ziemię i w całej swej dziewiczej krasie, w białą, lnianą odziana szatę, z rozwianym złotym włosom, w których się czepiały liście dębu, stanęła przed opiekunem. Stanęła i błękitnymi oczami spojrzała na niego, pytając, czegoby żądał.

A Witold ujął ją za rękę i zaprowadziwszy do komnaty, rzekł głosem stanowczym:

— Zostaniesz żoną króla Władysława Jagiełły.

Sońka podniosła na mówiącego zdziwione i na poły przelepkę źrenice.

— Przysłano po ciebie swaty, za trzy dni pojedziesz; gotuj się do drogi! — mówił Witold rozradowanym, lecz nie znoszącym wszelkiego oporu głosem. — Tak, gotuj się do drogi, miła nam krewniaczko a przysza królowo! — dodał łagodniej.

I wyszedł z komnaty.

A Sońka?

Stała przez chwilę, jej wesołą twarzyczkę okolił nagle smutek, białe czoło przecięła zmarszczka. A potem szybkim ruchem owinęła się w złote swe włosy i wybiegła z komnaty, aby na łonie wiernej swej piastunki ukryć i wypowiedzieć wszystko, co kołatało w jej młodziutkiem serduszku.

*) Bogini litewska piękności i uczuć serdecznych.



Trąba morska (str. 224).

Nie zaraz jednak, lecz w tłusty wtorek roku następnego, w kościele farnym nowogródzkim, który książę Witold pod wałami zamku zbudował, odbył się ślub Władysława Jagiełły z księżniczką Zofią Holszańską.

Bezdzietny król pragnął koniecznie zostawić dziedzica dla dwóch dzierżaw po królowej Jadwidze, księżniczce Annie Cylejskiej i Zofii Pileckiej, i po raz czwarty zawierał śluby małżeńskie. Tym razem Bóg spełnił jego życzenia: królowa Zofia stała się matką Władysława Warneńczyka i Kazimierza Jagiellończyka.

III.

Zaledwie przebrzmiwały dzwony ogłaszające smutnym dźwiękiem pogrzeb Władysława Jagiełły, na zamku krakowskim zebrała się cała starszyzna, otaczająca tron za życia zmarłego króla, ze Zbigniewem Oleśnickim, kanclerzem i pierwszym dostojnikiem państwa na czele.

Do przyćmionej, noszącej piętno smutku i żałoby komnaty, weszła wkrótce królowa Zofia. Szaty żałobne, wdowi welon i czepiec przyćmiewały krasę i świeżość lica trzydziestoletniej zaledwie niewiasty. Wyniosła jej postać z godnością i powagą prawdziwie królewską dźwigała ciężki ubiór, a z nim smutek i troskę o dwóch małoletnich synaczków, Władysława i Kazimierza. Umieli też uszanować ten majestat zebrani panowie, bo za ukazaniem się królowej Zofii powstali z miejsc swych i pochyłili głowy. Pochylili je nie tylko, że tak nakazywał obyczaj dworski, lecz że serca ich przepełnione były prawdziwą czcią i uczuciem dla młodej stosunkowo, a pełnej enót małżonki zmarłego króla.

Królowa zajęła wdowi, kirem obity tron, obok którego na wzniesieniu stał pusty tron jej małżonka a na nim złożone insygnia królewskie. Poniżej królowej wdowy zajął miejsce Zbigniew Oleśnicki i rozpoczęły się obrady.

— Któż godniej zająć może to osierocone miejsce, jeżeli nie Władysław, najstarszy syn zmarłego, a wielce miłościwego monarchy — ozwał się po krótkim przemówieniu Oleśnicki.

— Dziecko to jeszcze!

— Pacholę, nie umiejące utrzymać ni berła, ni oręza w dłoni — posypały się niechętne głosy.

— Wolą zmarłego króla a mego miłościwego małżonka było, ażeby najstarszy nasz syn, Władysław, rządy po nim objął! — wyrzekła stanowczym głosem królowa Zofia.

Szmer przebiegł komnatę, były głosy popierające królowę lecz przedzierały się i przeciwne.

— Ja przy woli małżonka mego obstaję i Władysława królewicza następcą zmarłego i monarchą widzieć pragnę — dał się słyszeć dźwięczny, lecz prawie rozkazujący głos królowej.

Głosy przychylnie ją poparły, wśród nich wszakże ktoś się odezwał:

— Któż w imieniu pacholęcia władzę dźwżyć będzie?

— Ja nad małoletnim królem i nad całym narodem władzę, jako matka zdzierzę, ster rządów weźmie w swe ręce kanclerz i dla szczęścia kraju prowadzić je będzie — mówiła podniesionym głosem królowa, a na jej białem, wyglądającym z pod wdowiego czepca czole, zarysowała się głęboka zmarszczka.

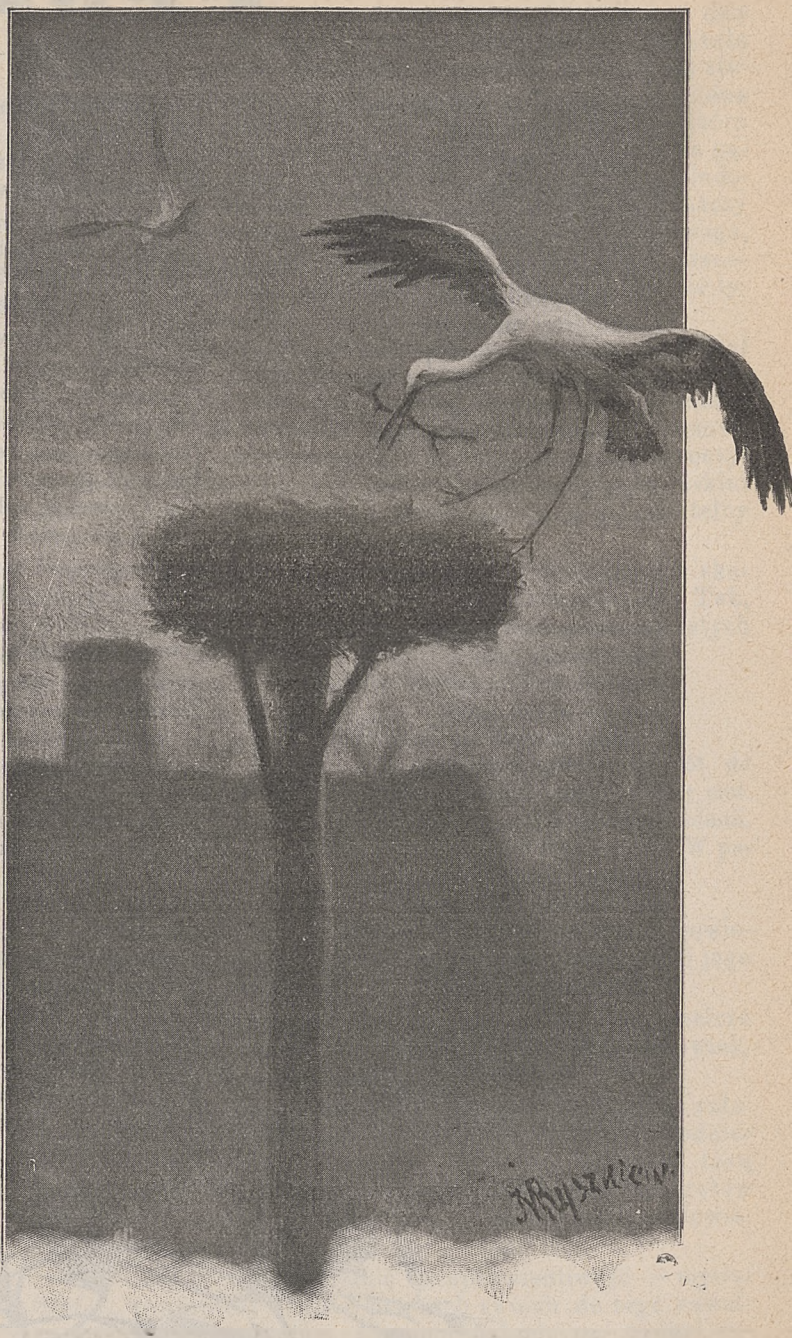
I nie dając folgi nowym szeptom, wyciągnawszy rękę przed siebie, dodała:

— Ja tak chcę i tak mi Panie Boże dopomóż.

I nikt już potem nie śmiał rzec i słowa, a dziesięcioletni Władysław został obwołany królem.

*

Działo się to w 1434 r. a w dziesięć lat potem w serce matki i królowej ugodziła wieść straszna, o klęsce pod



Naprawa gniazda (str. 224).

Warną i śmierci syna. Nie straciła jednak ducha i długo jeszcze żyła otoczona czcią ogólną.

I oto teraz, w czerwcu roku bieżącego po czterech wiekach z górą od śmierci tej królowej, znaleziono jej trumnę przy odnawianiu kaplicy, przez nią samą ufundowanej w katedrze krakowskiej. Przypomniano sobie wielkie jej cnoty, niezwykły hart duszy i nadzwyczajną dobroczynność. Prochy jej z należną czcią i powagą złożono do nowej trumny i w tej samej pochowano kaplicy.



Troska.

Nad polami — nad łąkami
Wieczór snuje ciszę,
Ostatniami westchnieniami
Maj ziemię kołysze.
Już opadły z kwiescia sady,
Zieleń je przystraja,
Tuli ziemię mrok już blady
W ostatni dzień maja.
Lekko żytni łan faluje
Mglistą księżą kłosów,
Już gdzieś kosa pobrzękuje
Od łącznych pokosów.
Już urwali pieśń wieczoru
Piewcy zadumani, —
A aleją ode dworu,
Wyszli pan i pani.

Idą zwolna — zamyśleni,
Uroczyści — cisi,
Na ich czołach pośród cieni
Jakaś troska wisi,
Zrzadka krótkie słówko padnie,
Łza się w oku kręci,
Czasem uśmiech się zakradnie,
Jak odbłask w pamięci.
Idą wolno — dłoń na dłoni,
Z okiem w dal utkwionem,
Myśl i wzrok ich za czemś goni
Drogiem i marzonym.
Idą cicho — zasłuchani
W dal, co hen gdzieś wiedzie,
Biją serca pana — pani: —
„Może on już jedzie?”

Majaczeje coś na drodze,
Gdzieś zaturkotało...
Ej... to serce jej niebode
Bije... przejechało!...

Przejechało bocznym szlakiem,
Pan i pani cisi,
Goni myśl za jedynakiem
W oczach troska wisi.
Bo nie ladaż to emocje,
Co się w sercu tłuka,
Czy przywiezie też promocję,
Jak poszło z nauką?...

Pani czeka z sprawowania
Nieomylnie piątki,
Lecz nauka... wymagania...
Tak trudne początki...
Pan z niemałym teraz trudem
Grosz do grosza zbiera,
Wpis i stancję spłacił cudem,
Dziś w przyszłość spojiera.

Ciężko związać koniec z końcem,
Lecz trudy nie boją,
Gdy nadzieja wstaje słońcem
Nad tą szarą dolą;
Jeśli pójdzie syn po myśli,
Zwalczy los mizerny...
— Lecz na górkę właśnie wyszli,
Zkąd widok obszerny.

Majaczeje coś na drodze,
Co od szosy wiedzie...
Więc zabiły serca srodze:
„To nasz chłopak jedzie!”
„Jedzie — jedzie!...” Pan i pani
Przynaglają kroku,
Troską parci — sercem gnani,
Z łzą natrętną w oku.
Jedzie wózek — a kurz drogą
Wznosi się i wzdyma,
Staś na stopień skoczył nogą
A w ręce coś trzyma.

Trzyma!... podniósł zwój do góry,
Papier wielki... biały!
To promocja i cenzury;
Ucznia skarbiec cały.
On im radość niesie w dani
I trud z jej posięcia,
Więc już biegną pan i pani
Z sercem pełnym szczęścia.

Zmilkli piewcy zadumani,
W ciszy leży wioska,
Z synem idą pan i pani...
Gdzież została troska?...

Ida Pilecka.

* * *

Gdzież została? — Nie została,
Na długo przepadła,
Pilność Stasia ją rozwiała,
Jak sennie widziadła. —
Ach, widzicie przyjaciele,
Ach! widzicie, jak to wiele
Od was już zależy,
Kochana młodzieży:
Dwóch najdroższych istot w świecie
Spokój i otucha; —
Niech, gdy praca was przygniecie
Doda wam to ducha.
Niech odpędza mroczne fale
Lenistwa gnuśności,
I ułatwia wam wytrwałę
Zwyciężać trudności.
Gdy nie uda się czasami,
Nie tracić ochoty!
Własna wina tylko plami,
Dalej do roboty!

W. R.



Stefek Luty w Brazylii.

przez
Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg).

Dlaczego gubisz mnie, siebie, i wojowników Burung-
skich? Słyszysz jak grozi ci potężny, wielki Gundahani.

— Biada mi biada! O Suy! dlaczego wiesz na za-
tracenie własnego ojca?

— Precz! Dość tych słów bezmyślnych. Krew tylko
przebłągać może Wielkiego Ducha. Daj mi jej krew, albo
sam natychmiast zgładzę to stworzenie — krzyknął Gun-
dahani i podniósł czaszkę, która służyła mu za bęben.

— Błbly roztrzaskał głowę dziewczecia. bo Indyanka

ogłuszona słowami ojca stała nieruchoma. Sęp porwał
córkę i wybiegli razem z jaskini, Gundahani ciskał za ucie-
kającymi skorupy wodnych żółwi.

— Kto jest ten straszny starzec, dla czego gniewa
się na nas ojciec? — pytała Suya, kiedy znużeni długiem
biegiem odpoczywali na zwałonym pniu araukaryi.

Suya nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało,
przyzwyczajona postępować wedle własnej woli, wiedziała
że ojciec daruje jej każde przewinienie i ta bezkarność
uzuchwiała Indyę kę. Żadna z Botokudek nie byłaby
się odważyła wejść na ścieżkę prowadzącą do jaskini Gun-
dahaniego. Kobiety nie miały prawa przestąpić zakaza-
nych progów. Suya chciała opowiedzieć o swoim liście
i szukała ojca. Poznała prędko jego ślady w puszczy. In-
dyanie umieją znaczyć drogi, którymi przeszli. Zaciosują
w tym celu korę drzew, zaginają w właściwy każdemu spo-
sób liście krzewów, albo wiążą te krzewy w węzły, które
tylko wprawne oko odgadnąć potrafi. Suya po węzłach

poznała drogę Sępa i nie namyślając się długo, bo 13 letnie dziewczynki rzadko zdają sobie sprawę z tego, co czynią, pobiegła za ojcem żeby odwieść go od zamiaru mordowania białych twarzy.

Stary Burung nie odpowiedział na pytanie córki, nie zdawał się nawet być zagniewany. Daleki piorun wstrząsał od czasu do czasu powietrzem, ale on nie drżał już przed gniewem Wielkiego Ducha. Opuścił głowę na piersi i patrzył bezmyślnie przed siebie, jak człowiek którego spotkało nieszczęście. Suya pierwszy raz w życiu nie śmiała przerywać milczenia ojca. Zaczęła pojmować, że stało się coś bardzo złego. Nawet sarna zdawała się odgadywać grozę położenia, przestała skubać trawę i przybiegła do swojej pani.

Odgłos kołatki przerwał zadumę Sępa. Zeskoczył z kłody, schwycił włócznię i utopił kościane ostrze w piersi zwierzęcia. Suya krzyknęła z całych sił, ale było już za późno. Sarna broczyła krwią, czarne jej oczy szukały ostatniem pożegnaniem oczów Indyanki.

— Ojcze! ach ojcze jak mogłeś to uczynić — szlochala Suya.

— Cicho, nie czas lamentować, wiesz jakie jest prawo? — zapytał wódz, patrząc z żalem na córkę. Ciebie to, nie ją powinienem zabić! dodał kopiąc nogą sarnę.

Suya zdawała się nie słyszeć okropnych słów ojca.

— Ciebie powinienem zabić ja wódz, ja naczelnik plemienia. Tego żąda Gundahani. Tysiąc i jeszcze tysięcy razy słońce wypływa nad ziemię, ale nigdy nie widziało ono takiego zgorzenia. Zamilkł na chwilę, jakby rozmyślając nad niepojętem zuchwalstwem własnej córki potem mówił półgłosem.

— Wielki Duch jest dobry, ostrzegał, grzmiał gniewem, a ona niebaczna na jego głos poszła tam, gdzie nie postawiła stopy żadna kobieta.

Upadł i tarzał ciało w prochu ale nie przyniosło mu to ulgi.

— Sciągnęłaś przekleństwo na własnego ojca, odebrałaś moc zabójczą naszym strzałom. Zginą czerwoni wojownicy, białe twarze wytepią Burungów.

— Białe twarze są dobre, one polują na jararakę i jaguara a ty, ojcze, zamordowałaś moją śliczną sarnę szlochala Suya.

— Białe twarze! Szalona! krzyknął Sęp chwytając Suyę za włosy. — Milcz! nie obrażaj bluźnierstwem Wielkiego Ducha. On nienawidzi białe twarze, czyż nie dość go już zagniewałaś?

Odepchnął od siebie córkę i wyczerpany wzruszeniem upadł na kłodę araukaryi.

— Ja także zawiniłem — mówił z coraz większym smutkiem. — Zanadto ją kochałem, zostawiałem jej zbyt wiele wolności. Tak, to ja sciągnąłem nieszczęście na nasze głowy. Będziemy walczyli i zginieemy, bo urary straciła moc.

Ponury Sęp szarpał dotąd wnętrzości swych nieprzyjaciół, teraz czeka go hańba, a Burungów zagłada. Opuścił głowę na piersi, wydawał się złamanym jak niedołączny starzec. Suya spojrziała ze strachem na ojca. Byłże to ten sam wódz, o którym układała pieśni. Zdjęła ją wielka żałość.

— Zabij mnie więc ojcze, jeśli tem uratujesz siebie i naszych wojowników — zawołała przypadając do nóg Sępa.

Ale on nie miał siły tego uczynić. Patrzył na śmierć synów, Suya była ostatnią z pokolonia, czyż by mógł utopić włócznię w jej sercu? Nie, nigdy. Oszuka Gundahaniego. Zbroczy ręce krwią zabitej sarny i powie czarnoksiężnikowi, że to krew zuchwałej dziewczyny, która znieważyla jego jaskinię. On da się przebłagać ofiarą i wyda Sępowi strzałę.

Tak myślał Sęp, Ponury Sęp, dawniej Skalistym Ortem zwany, nieustraszony wódz Burungów.

Biedna Suya!

Była dotąd wesołem bezmyślnem dzieckiem a dziś zważyło się na młodą główkę tyle nieszczęść. Przestała płakać nad zabitą sarną, bo zrozumiała, że grozi jej sto-kroć cięższa troska. I wszystkim była winna ona, ona która nie uczyniła dotąd nikomu żadnej krzywdy, która okruciami własnego pożywienia karmiła ptactwo leśne a gąsienicę spadłą z drzewa kładła na gałąź, aby stopa ludzka nie zdeptała robaka. Biedna Suyo! któż ci wytłomaczy że powodem nieszczęścia jest nietylko twoja nierozwaga, lecz przedewszystkiem przesąd i nienawiść rasowa, macochy, które pożerały od wieków i pożerają dziś jeszcze ty-siące niewinnych ofiar.

Przypadła szlochając do nóg ojca. Ale Sęp nie chciał miękzyć serca widokiem żalu córki. Potrzebował wiele mocy nad sobą, aby stanąć przed Gundahanim i oszukać starca. Na toż przyszło jemu nieustraszonemu wodzowi. Odwrócił twarz od klęczącej, schylił się do ziemi zbroczył ręce krwią zabitej sarny, a potem szedł w kierunku jaskini i nie spojrział już na Suyę, przez którą on nieskazitelny miał skłamać, pierwszy raz w życiu.

Córka patrzyła za ojcem póki nie zniknął między skałami, potem zerwała się z ziemi i uciekła do lasu. Tak, ucieka zraniony ptak, który unosi ból w cień ojczystych drzew.

Rozdział XVIII.

Wdzięczność jest znamieniem dusz szlachetnych. — Powrót do kolonii. — Rzeka przybiera. — Rada Tomasza. — Przebitu muł. — Zatruta woda. — Kto zamknął przejścia. — Dobry duch kolonii. — Ofiara Wojciecha. — Kasia. — Zgoda z Tomaszem. — W puszczy.

Stefan zabrał z sobą list Indyanki i mimo samowiedzy niebezpieczeństwa, jakie zawisło nad kolonią, myśl jego zajęta nim była wyłącznie.

Nie pierwszy to już raz w życiu odbierał tajemnicze ostrzeżenie, ale jakże się wstydził, on biały człowiek, w obec postętku czerwonoskórej dziewczyny.

Wdzięczność znamionuje wrodzoną szlachetność człowieka, odczuć wdzięczność potrafi tylko prawa, do podniosłych wrażeń skłonna natura. I Stefek spotykał taką wśród lasów brazylijskich, między ludźmi, których gotów był uważać za stworzenia więcej do małpy niż do człowieka zbliżone.

— Jakże łatwo popełnić niesprawiedliwość — myślał Stefan, zwątpiwszy nagle o prawach swoich do tego kawałka ziemi, który wspólnie z innymi kolonistami wydarł puszczę. Wyzierali go wpród już Irlandczycy i cóż zostało z ich pracy? Zgliszcza, co przynieśli z sobą, mord i pożogę.

Stefan zadrżał, nawet fuzya, z której był tak dumny wydała mu się wstrętną w tej chwili. Ona to stanowiła jego wyższość nad Botokudami, broń którą za kilka dni mordować będzie czerwonoskórnych braci.

Czuł jednak i to także, że nie ma czasu do stracenia i że nie wolno mu lekceważyć niebezpieczeństwa, które grozi jego współziomkom. Bądź co bądź, nie on wyzywał dzikich do walki, nie on ją rozpoczynał.

Należało zatem wyzyskać środki obrony, jakie miał pod ręką.

— Co robić, gdzie szukać rady — myślał popędzając konia.

Majaczyły w głowie Stefana opisy bitew z Tatarami. Tatarzy używali tak jak dzicy łuków i zasypywali tabor polski chmurą strzał. Z czego jednak zbuduje tabor w puszczy? Zwalone pnie drzew stanowiąc mogły chwilową osłonę dla strzelców, ale jak wznieść trwałe ogrodzenie, jak zbudować fort podobny do tych, które rząd Stanów Zjednoczonych stawia dla obrony traperów ścigających zwierzyne.

Pamiętał słowa Geralda: nieutrzymacie się, nie utrzyma się tu nikt z kolonistów. Cóż więc należało czynić? Może pójść za radą mulata i szukać w Kurytybie ziemków, którzy pomogliby mu wyjść z rozpaczliwego położenia?

Kurytyba, miasto! Jakże ponętnie brzmiały te słowa. Czas przebyty w puszczy nauczył Stefana cenić wartość cywilizacji, nie narzekał na los, doznał owszem prawdziwej radości ilekroć udało mu się przewyciężyć niepokonane na pozór trudy osiedlin, lub oddać przysługę swoim. Dotrzymał słowa, żył z nimi jak z braćmi. Jego kuźnia była punktem zbornym kolonii. Czuł się użytecznym stanowiąc roskaś słusza. Rozkoszą było mu także osiąść wierzchowca i pędzić w głąb stepu jak dziś, rokoszą gonić za zwierzyną. Odżyły w młodzieńcu instynkta dziecka wsi, może dziecka zrosłej z koniem i bronią rodziny.

(d. c. n.)

Nasze ryciny.

Trąba morska. Kto kiedykolwiek widział tak zwana trąbę, czy to lądową, czy morską, nie zapomni nigdy tego widoku, jeżeli uszedł cało.

Trąba taka jest to właściwie cyklon na małą skalę, ten ostatni zaś jest skutkiem straszliwie silnych i szybkich wirów powietrznych. W środku samego wiru znajduje się obszar ciszy, dokoła którego huczy wiatr, łącząc fale morskie lub piasek z masą chmur, unosząc się ponad wirum. Trąba tworzy się przeważnie przy spokojnym i silnie ogrzaniem powietrza. Chmura burzliwa przyjmuje postać lejki, mniej więcej wydłużoną, jak widzimy na rycinie; podstawą swoją dotykając morza, podnosi falę, która zdaje się tworzyć, jakby dolną jej połowę.

Zarówno cyklony, jak i trąba postępują naprzód, a biada temu, co leży na jej drodze: znosi budynki, wyrwa drzewa, zatapia okręty.

Cyklony i trąby najsilniejsze bywają w strefach gorących, w umiarkowanych nie mają tej siły. Zdarzają się w miesiącach najgorętszych, od czerwca do września.

W bocianiem gnieździe. Niezmiernie lubię, będąc na wsi, obserwować bociany w ich rozmaitych ruchach, lotach i całej działalności. Dziwnie to poczciwy i sympatyczny ptak, a najbardziej mnie wzrusza jego przywiązanie do gniazda swojego i rodziny. A ten powrót do własnego gniazda po wędrówce zimowej, ta pamięć miejscowości! Naturalnie, że po powrocie gniazdo wystawione na wiatry, deszcze, śniegi musiało być uszkodzone, czeka więc podróżnika pierwsza praca wiosenna: poprawienie i umocnienie swojego domu. Jedną z takich chwil przedstawił właśnie pan Ryszkiewicz na swym wdzięcznym rysunku. Gniazdo jeszcze puste, boćkowa buja nad łakami, szukając żab, i jajek dotąd nie złożyła, a bociek niesie gałązkę w dziobie, aby nią umocować gniazdo dla przyszłej rodziny. Szczęść ci Boże, ptaku nasz domowy, niech żadna burza nie strąci ci gnia-

zda, wyhoduj szczęśliwie młode i wracajcie tu wszyscy na rok przyszedły, do tego samego gniazda na wysokim słupie przy stodole!

ARYTMOGRYF LICZBOWY.

ułożyła Ela Hutorowiczówna.

1)	5	?	Zastąpić liczby literami, aby
2)	14	2	w utworzonych 19 wyrazach
3)	7	2	litery środkowe czytane z gó-
4)	8	8	ry na dół, składały imiona
5)	15	15	i nazwisko słynnego hetmana
6)	2	2	z pierwszej połowy XVI wie-
7)	8	?	ku. Znaczenie wyrazów: 1)
8)	10	26	Spółgłoska. 2) Przyjaciel wie-
9)	7	12	szcza. 3) Król duński. 4) Część
10)	13	23	dachu. 5) Kraj w Ameryce. 6)
11)	7	3	Ptak. 7) Samogłoska. 8) Li-
12)	8	12	czebnik. 9) Mały koń. 10) Mia-
13)	7	7	sto w Azji. 11) Zwierzę do-
14)	6	10	kowe. 12) Utwór literacki.
15)	14	25	13) Spółgłoska. 14) Rzeka.
16)	7	2	15) Ryba. 16) Rzeczownik.
17)	18	25	17) Potrawa. 18) Wykrzy-
18)	2	23	wnik. 19) Spółgłoska.
19)	12	8	

ROZWIĄZANIA DO N-ru 26.

Logogryfu kropkowanego:

St an i s ł aw M on i us z k o
V e r b u m n o b i l e
H r a b i n a
W i d m a
J a w n u t a
F l i s
S t r a s z n y d w ó r
H a l k a
P i e ś ń w i e c z o r n a
Stanisław Moniuszko
Moniuszko.

OGŁOSZENIA.

Zakład naukowy 8-io klasowy żeński

Heleny Kaplińskiej

dawniej Ł. Żeleszkiewicz

w Krakowie, ulica Gołębia Nr. 5.

przyjmuje uczennice stałe i przychodnie na dotychczasowych warunkach.

Zapis na rok szkolny 1902/3 codziennie.

Kurs przygotowawczy do studyów uniwersyteckich. 3—3

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5—stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.
Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Widok katedry krakowskiej na Wawelu po odnowieniu (ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii p. Wł. Umińskiego. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Trzy chwile z życia królowej Zofii, przez Z. Morawską. — Troski, wiersz. — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Nasze ryciny: Trąba morska, W bocianiem gnieździe. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Huśtawka, wiersz przez Maryę Łopuszańską (z ryc.) — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Co znalazłem w błotach i kałużach, przez Maryę Weryho (z ryc.) — W Krainie wiecznego wesela, baśń przedstawiona w teatrze maryonetek. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Na zamku Nasielskim, opowiadanie z pierwszej połowy XVIII w., przez Annę Zielińską.

Huśtawka.



*Huśtaj-że mię, huśtaweczko
Wysoko, wysoko,
Chcę polecieć coraz wyżej,
Jak dosięgnie oko.
Jakże będzie mi wesoło,
Gdy rozejrzę się w około,
I pobujam tak!
Gdybym skrzydła tylko miała,
Tobym w górę poleciała,
Jak prawdziwy ptak!*

Marya Łopuszańska.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.

(Dalszy ciąg).

VI.

Wyruszono w drogę w jasny, słoneczny poranek. Konie dobrze nakarmione i wypoczęte, szły rażno i ocho-

czo, wozy sznurem jeden za drugim znaczyły szeroką bródę na rozmięklej od wiosennych deszczów, ziemi. Wszyscy byli weseli, bo im się już sprzykrzył długi pobyt na jednym miejscu, a przytem tak już natury ich przyzwyczały się do włóczęgi i różnorodnych przygód koczowniczego życia, że jak ptaki czując wiosnę w powietrzu, rozwijają skrzydła do lotu i dążą w rodzinne strony, tak i ich pchała jakaś chęć czynu, ruchu, życia.

Tak czuli starsi — a dzieci?

Ich bawiła także zmiana położenia, jazda na wyładowanych wozach, zaciekawiało wszystko w około! Wojtaszek nie stanowił wyjątku.

Siedząc na przodzie długiego wozu, oglądał się na wszystkie strony, a ponieważ mijali przeważnie wioski, przyglądał się chatom, ogrodom i myślał, że to chyba niepodobna, aby nie przejeżdżali przez Brzezinki.

Gotował się już nawet z głośnym wykrzyknikiem, który jakby mu w gardle zawadzał, i bacznie śledził każdy budynek i pilnie patrzył na prawo i lewo. Naprzeciw niego siedziała Mira z małą Nellą. Ruch wozu ukłótył dziecko, więc schyliła jasną główkę na kolana dziewczyny, a ta przykrywszy ją swym kraciatym szalem, by słońce nie raziło jej oczu, patrzyła sama w dal, szeroko otwartymi oczami.

— Miro, czemu się nie cieszysz, że jedziemy — zagadnął Wojtaszek.

Drgnęła, jakby zbudzona z głębokiego snu.

— A ty, cieszysz się?

— O tak, bardzo!

— Czemu, moje dziecko? — pytała, jakby z trudem, podnosząc powieki.

Otworzył usta i już, już miał powiedzieć: bo niedługo będą Brzezinki, wyskoczę i polecę do swoich, ale się zawahał.

— Czemu się cieszysz? — powtórzyła.

Nie umiał kłamać, więc milczał.

Odwrociła od niego głowę, jakby ze zniechęceniem.

— Głupie dziecko — pomyślała — pyta, czemu się smucę, a sam nie wie z czego się cieszy! Szkoda, że taki umysłowo nierozgarnięty, fizycznie silny i zdrowy, myślałam, że możnaby go użyć do...

Lecz Wojtaszek znów przerwał wątek jej myśli.

— Gdy patrzę na ciebie, Miro, zdaje mi się, że jesteś nieszczęśliwa?

— A ty, czy jesteś szczęśliwym wśród nas?

— Ja... ja... nie bardzo!

— Dla czego?

— Bo... bo... bo...

Znów nie wiedział, co powiedzieć, bał się wyznać, że tęskni do swoich, że prócz niej nikogo nie lubi.

— Powiedz — zachęcała dziewczyna — nie bój się, ty tęsknisz, prawda, chciałbyś powrócić, czy tak?

— Tak — odparł, sam nie wiedząc dla czego się przyznał.

Oczy Miry poweselały.

— Tyś Polak, pochodzisz z tej samej krainy, co mała Nelly. To piękny, płaski kraj, niema w nim takich gór, jak tutaj. A lud tam dobry, oj dobry! Czy mieszkałeś na wsi, czy w mieście?

— Na wsi, w Brzezinkach, ślicznej wiosce! Przed chatą były duże, stare lipy, przy drodze kościół z wieżyczką!

(d. c. n.)



Marya Weryho.

Co znalazłem w błotach i kałużach?

13 a. Pierwszy dzień wakacyi.

Przez parę dni nie chodziłem za rogatki, ale za to od dziś jestem wolny jak ptak; o dziesiątej wyszedłem i mam wrócić na trzecią. Mama zaopatrzyła mię nawet w koszyk ze śniadaniem: dostałem buteleczkę mleka i dwie szklaneczki; domyśliłem się dla czego.

Dziadek już czekał na mnie, siedząc pod drzewem i bardzo serdecznie powitał.

Opowiedziałem mu o szkole, o popisie uroczystym, o tem co robiłem przez dwa dni i jakie książki przyniosłem do czytania.

— I ja miałem zajęcie przez czas twojej nieobecności: pilnowałem dzieci chorej żebraczki, którą do szpitala zabrali.

— Noż cóż się z niemi stało?

— Znalazłem dla nich przytułek u praczki w tym białym domku, dziesiątkę na dzień płacę za nie, a czasem gdy uzbieram, to i więcej dodam... Ale, chciałem ci powiedzieć, że tu muszą być ryby w stawie, bo widziałem, jak jedna tuż pod trzcina płynęła.

— Pewno cierniki, bo czytałem w „Zaklętem królestwie,” że w stawach jest zwykle dużo tych drobnych rybek.

Pobiegłem na brzeg, wskoczyłem do łódki, która tu była uciepiona na łańcuchu i patrzałem — ale oprócz kijanek, które bardzo urosły i którym już przednie łapki pokazywały się — nic dojrzeć nie mogłem. Jakoś nie miałem ochoty dziś grzebać się w wodzie. Poszedłem do dziadka na pogawędkę i do południa zeszedł nam czas prędko.

Biorę kosz, rozwijam śniadanie.

— Mój dziadku — powiadam — zrobicie mi to o co was prosić będę, nie odmówicie? wszak prawda? Zjedzcie ze mną śniadanie; mam tu mleko, bułki, wystarczy dla obu.

— A no, jeśli tak prosisz, dobrze, posilimy się razem.

Nalałem do szklaneczki mleka i podałem staruszkowi.

— Nie pamiętam nawet, kiedy mleko w ustach miałem. Dobrze, Bóg ci zapłać — mówił staruszek, kończąc śniadanie.

Pierwszy to raz żebrak przyjął coś ode mnie, taki byłem szczęśliwy, takbym mu dziękował! I przekonałem się, że dawać jest stokroć przyjemniej, niż brać. Bardzo kocham mego staruszka.

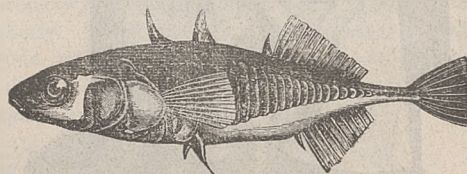
13 b. Cierniki.

Dziwna rybka! Mała, może najmniejsza, jaką widziałem, a jaka zmyślna!

Czytałem i uczyłem się w zoologii, że ryby składają ikrę bylegdzie: na brzegu, na liściach, w trzcinie — i o wychowaniu dzieci wcale nie myślą; stąd też tyle ikry jak też i małych rybek ginie.

Cierniki zaś, przeciwnie, dbają bardzo o swoje małeństwo. Najpierw robią im gniazdko. Z gałązek, roślin wodnych uwiną kłębek i przebija na wylot, gniazdko staje się podobnem do małej mufki; ażeby trwalsze było, więc gałązki zlepiają płynem, który wypuszczają ze swego ciała.

W końcu w gniazdku składają ikrę i troskliwie jej pilnują, żeby jaka ryba, czy żaba, czy kto inny nie miał ochoty pozjadać. Po dwunastu dniach nareszcie wylęgają się małe, przejrzyste, śliczne stworzonka, i śpieszą wypłynąć ze swej kolebki.



Cierniki.

Ciernik pozwala im, ale na bardzo krótko, wnet każe wrócić do domu, bo o nieszczęście nie trudno, każdy rad porwać delikatną rybkę.

Małe siedzą w gniazdku, a ojciec czatuje. Gdy jakiś rabuś się zbliża, ciernik nastawia swoje kolce i śmiało zastępuje drogę.

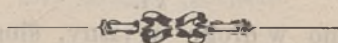
Zdawałoby się, że z tak małą rybą jak ciernik, hyleżuk mógłby poradzić, a cóż dopiero większa ryba; ale ostre trzy kolce przestraszają wszystkich.

Z narażeniem życia nieraz broni ciernik swoich dzieci i dopiero gdy są zupełnie bezpieczne, pozwala im trochę użyć swobody.

I tak opiekuje się niemi, póki nareszcie nie wyrosną im kolce, którymi same już mogą się bronić.

Raz nawet widziałem, jak młody ciernik nie chciał do gniazdko wejść, wtedy stary nasrożył się, schwycił go za kark i przemocą włożył w gniazdo.

Poznałem także cierniki, które gniazda robiły na dnie wody.



W KRAINIE WIECZNEGO WESELA.

Baśń przedstawiana w teatrze marynetek w Warszawie.

(Dalszy ciąg).

Jagusia. Pójdę z wami!

Rusałka I. Doskonale! Lecz ci oczki zasłonimy na drogę, która do nas, do krainy wiecznego wesela prowadzi — mogą znać tylko Rusałki — ludzie nie.

Jagusia. A jak wrócę, skoro drogi nie znam?

Rusałka I. (ze śmiechem). Ha! ha! ha! Nie zechcesz, nie zechcesz, dziecko, wrócić do ubogiej chatki, gdy poznasz nasze zamki, nasze skarby, nasze życie!

(*Wiążą jej oczy i uprowadzają w podskokach, śpiewając.*)

U nas jest wieczne wesele,

U nas też znajdziesz raj!

(*Znikają w lesie; Echo przebiega drożynę, śpiewając na tę samą nutę.*)

Znajdziesz raj.

Zasłona spada.

ODSŁONA TRZECIA.

(*Wspaniały zamek; trzy łuki wspierają sufit, i dzielą scenę, na trzy jakby oddzielne kopnaty. Z trzeciej, najodleglejszej, widać przesuwające się w lekkich sztach rusałki, słychać dochodzącą stamtąd muzykę, śmiech i gwar. W drugiej, środkowej, długie stoły, zastawione suto; w pierwszej, najbliższej widza, stoi w rogu wspaniałe łoże, zasłonięte ciężką kotarą; obok toaleta z kosztownem lustrem. Na przodzie sceny siedzi na złotem krześle Jagusia w powiewnej szacie, otoczona karzełkami. Jeden trzyma na wzorzystej poduszce, białe, złotem szyte pantofelki; drugi, czesze jej włosy, trzeci, wyrzuca przed Jagusią najpiękniejsze kwiaty z kosza, czwarty przedstawia kilka bogatych naszyjników. Z boku stoi stary karzeł, z długą, siwą brodą i przygląda się całej scenie w milczeniu, Jagusia siedzi zamysłona.*)

SCENA I-sza.

Karzełki, — Jagusia

Karzeł I. Czy włosy upiąć wysoko, czy nisko, czy rozpuścić jak potok na ramiona?

Jagusia (obojętnie). Jak chcesz.

(*Karzeł stojąc za plecami Jagusi, patrzy na swoich towarzyszy i wzrusza ramionami.*)

Karzeł II. Którym z tych naszyjników ozdobisz, pani, swą szyję.

Jagusia (wyciągając rękę). Może być ten.

Karzeł (podsuwając jej inny). Ten brylantowy...

(*Jagusia zamienia naszyjniki w milczeniu.*)

Karzeł III (przykleka przed dziewczyną i wkłada jej na nogi pantofelki).

Karzeł IV. (wskazuje na kosz z kwiatami). Pani, racz wybrać kwiaty, najpiękniejszą młodości ozdobę!

Jagusia. Ach, jak mnie nudzicie!

Karły (w przerażeniu pochylają głowy). Pani, lepiej służyć nie umiemy, nie przerażaj nas gniewem swoim!

Jagusia (z chwilowem ożywieniem, do karła z kwiatami). Daj niezabudki leśne i żółte wodne kaczęńce!..

Karzeł (zdumiony). Tych nie mamy! Ale są żółte

w najcudniejszych barwach chryzantemy, tuberozy, storczyki..

Jagusia. Żadnych już nie chcę. Czy skończycie kiedy tę niemądrą komeđę?

Karły. Strój już ukończony!

Karzeł I. Same Rusałki zaćmisz pięknosciami swoją!

Jagusia (powstaje, rzucając okiem w lustro). A, toście mnie wynudzili!

(*Wbiega Rusałka.*)

SCENA II-ga.

Ciż — Rusałka.

Rusałka (spojrzawszy na Jagusię zatrzymuje się z podziwem). Ach, jakżeś piękna! Ale pójdź, pójdź, mamy nową zabawę.

(*pociąga z sobą Jagusię i obie wybiegają do dalszych komnat.*)

SCENA III-cia.

Karzełki same.

(*Schodzą się na środku sceny; najstarszy, siwy karzeł, przygląda się im z daleka.*)

Karzeł I. Jaka to śmieszna dziewczyna!

Karzeł II. Co to się dziwić, że jej się na ziemi nie podobało, kiedy tu, u nas, w tak pięknej krainie — dziwaczy i grymasi.

Karzeł III. (śmieje się serdecznie). Niezabudek chciała i kaczęńców, a moimi pogardziła kwiatami. Prostaczka!

Karzeł II. Na moje klejnoty, ani spojrzała.

Karzeł III. Ja wam powiem towarzysze, znamy się trochę na ludzkich grymasach — ona musi być chora. — Byłem dwa dni między ludźmi, o czym wam już nieraz mówiłem i wiem, że oni bywają czasami chorzy. Są wówczas jeszcze smutniejsi i nudniejsi niż zwykle, bo ich wtedy podobno coś boli. Otóż, ona musi być chora ta dziewczyna.

Karzełki (razem). Chora?

Najstarszy z karłów (zbliżając się). A czy wy wiecie, malcy, jak się ta choroba nazywa? Tęsknota!..

Karzełki (razem). Tęsknota?..

Karzeł I. I co wtedy boli, głowa czy żołądek?

St. karzeł. Gorzej — wtedy boli — serce.

Karzeł I. O, to przykra musi być choroba?

Stary karzeł. Najgorsza z cierpień ludzkich!

Karzeł III. O tak, to dobrze, że nie jesteśmy ludźmi, przynajmniej nie chorujemy na tęsknotę, jak to biedne ludzkie dziecię, co u nas bawi.

SCENA IV-ta.

Karzełki — Jagusia,

Jagusia (spozostzegając karzełków). Tu znowu ci siedzą; nigdzie niema spokojnego kąta.

Stary karzeł (do stropionej gromadki). No malcy, dość gawędy, czas pomyśleć o przygotowaniu uczyty, o zastawieniu stołu.

Karzełki (razem). Idziemy już, idziemy!

(d. n.)

M. Lipska.

SZARADA.

od Srebrnej Gwiazdki dla Złotego Słonka.

Pierwsze drugie rośnie w sadzie
Mocny zapach zwykle ma,
Kucharz go do potraw kładzie,
Kto je raki, ten go zna.

Zaś pierwszego i trzeciego
Strzeż się, bo to chytry zwierzę;
Choć pozoru łagodnego
Lecz dobroci tej nie wierz.

Wszystko nieraz tajemnice,
Powierzone sobie ma...
Podobniutki jak siostrzyce
W całym świecie każdy zna.

LAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

uł. Albert.

. Zastąpić kropki literami i ułożyć
. wyrazy, którychby pierwszy rząd
. oraz pierwsze litery złożyły imię króla
. izraelskiego. 1) 2) Wójt krakow-
. ski. 3) Kwiat ogrodowy. 4) Dopływ Warty.
. 5) Owad z rodz. łuskoskrzydłych. 6) Wykrzyknik.
. 7) Spółgłoska.

ROZWIĄZANIA DO Nru 26-go.

Zagadki: Żóraw.

Łamigłówniki kryształowej:

S
S z a
T a t r y
C h r o b r y
S z t o k h o l m
K o c h a n y
G r o c h
A l e
m

Skrzynka do listów.

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Antoś, Przyjaciół z nad Warty, Wielbicielka Szopena, Czarny Sęp, Suya, Leśna Poziomka, Śnieżycy, Leonek G., Gwiazda, Wojtaszek, Zdziś z Suchowa, Mira, Staś B.

Na liczne zapytania co do konkursów z N. 26, wyjaśniamy, że rysunki należy dodawać do wypracowań, bądź, jako ozdoby i winiety, nie koniecznie odnoszące się do tekstu, lecz służące do upiększenia, bądź jako oddzielne ilustracje. Jedna osoba może napisać wypracowanie, druga wykonać rysunki, lecz to będzie się uważało za jedną pracę. Z wyników tego konkursu osądzimy, czy warto urządzić oddzielny konkurs na rysunki. Wypracowania mogą być dowolnej długości, lecz pisane na jednej stronie każdej kartki, najlepiej wysyłać je nie w kopertach, lecz w opasce rekomendowanej jako rękopis, to kosztuje taniej a pewniej dochodzi. Termin nadsyłania wypracowania 1 września, wcześniej przysłać nie trzeba.

Ablusi. Przyslij na kartce pocztowej dokładny swój adres z żądaniem do redakcyi, a wnet ci Nr. brakujący wyślą. Winięszuję pomyslnych egzaminów, i przejazdów konnych na „Normie”, miła to rzecz konna jazda.

Dziwię się, Młoda Polko, że dopiero teraz po raz pierwszy i z taką nieśmiałością odzywasz się do mnie, która jestem waszą

serdeczną przyjaciółką i pragnęłabym jak najszersze koło wciągnąć do korespondowania ze mną. Niechże to będzie przelamanie pierwszych lodów, po którym popłynie cała rzeka twych listów. Do konkursów z N. 26 mogą stawać wszyscy czytelnicy i czytelniczki „Wieczorów”.

Bardzo się ucieszyłam Różyczko z Czernihowa wiadomością, że przybył ci mały braciszek Jerzy. Za dwa, trzy lata będziesz miała sposobność być prawdziwie użyteczną w domu, roztaczając nad młodszym bratem opiekę siostrzaną, a z czasem będziesz mogła, jak tego pragniesz, stać się użyteczną i dla szerszych kół społeczeństwa.

Nie otrzymałam twego ostatniego listu, Czarnobrewo i bardzo tego żałuję, bo musiał być nader ciekawy. U was w Paryżu gorąco, a u nas przeciwnie więcej deszczów niż dni pogodnych. Numera wysłałiśmy. Gdzie spędzisz wakacje, pod Paryżem, czy gdzie dalej?

Na pytania w kwestyi konkursu, Czarny Sępie znajdziesz odpowiedź wyżej. Widzę z twych pytań, że do wszystkiego zabierasz się z zapałem i dokładnością. Zadanie będzie z kolei pomieszczone. *Aksenie* pozdrowienie.

Leśnej Poziomce. Kart mam wiele i wciąż je zbieram, lecz z mniejszym zapałem a większą wybrednością. Nie bój się nie znudzisz mnie częstymi listami, to ja prędzej myślę że poziomka woli siedzieć w lesie niż pisać listy nawet do jaskółek.

Nie narzekaj Witoldzie St. na deszcze, jeszcze się pogoda poprawi i użyjecie wakacyi. Żałujesz, że tylko 4 ryby złowiliście, to bardzo pięknie, bo ja raz siedziałam z wędką parę godzin nad rzeką, milcząc jak trusia, i ledwie jedną płotkę złapałam. Opisz mi wasz teatr amatorski, jak się udał i co przedstawialiście?

Czy wiesz, Mazurze z nad Wołgi, że nowy pseudonym, który proponujesz, nie podoba mi się wręcz dlatego, że taka nazwa zupełnie się nie używa. Wybierz więc jeszcze co innego i napisz, korzystając z wakacyi, dłużej nieco.

Prymusowi. Tłumaczenia dobrych obcych autorów byle staranne, w istocie wyrabia wprawę w używaniu własnego języka.

Ruszyłaś się nareszcie Śnieżycy przysyłając wieść o sobie. Ja sądziłam, że już dawno nad uroczemi brzegami Niemna przesiadujesz. O przygodzie Edwarda VI istnieje w Anglii podanie, wyzyskane w wiadomej powieści, ale naturalnie nie stwierdzone dowodnie. I ja wkrótce już wyjadę z Warszawy.

Wielkopolance. Serdecznie ci dziękuję za śliczną kartkę pocztową pomysłu i rysunku twojej mamy. Będę miała prawdziwie cenną pamiątkę od was i z waszych stron, których jeszcze nie znam. Jaki oryginalny a zarazem zręczny i gustowny jest ubiór głowy tej wieśniaczki. Twój list poruszył wiele zapytań, na które, jak sama dobrze rozumiesz, trudno mi w skrzynce odpowiedzieć. Naturalnie, że chcąc pisać poezye, trzeba zapoznać się z poetyką. Najbardziej wyczerpującym dziełem o niej jest, Teorya poezyi polskiej Bema. Czytanie utworów naszych poetów już rozpoczęłaś, a arcydzieła literatury są najlepszym wzorem do kształcenia zarówno uczucia i myśli, jak formy wiersza i języka. Jeśli posiadasz talent, to rozwinię się on najlepiej pod ich wpływem, a treści dostarczy ci zawsze życie samo i serce własne. Wierzaj mi, że często myślę o tobie, a po tym ostatnim liście jeszcze częściej lecę na skrzydłach wyobraźni ku waszej miłej gromadce, ku Słowikowi, który ma, jak widzę, wstręt do pisania listów ku Wesolej Figlarce, a najbardziej ku tobie.

Wielkopolanka pozdrawia Nadobrzeżankę i Lutnistę.

Łochozwianka prosi o adres Kasztelanki.

Łochozwiance i **Bladej Iskierce** odpowiem za tydzień, a potem pewnie już wyjadę na pewien czas z Warszawy.

Wasza *Jaskółka*.

Gry i zabawy ogrodowe

krokiety, serso, kregle, wolanty, łuki, latawce „Orzeł” i in.

Al. Wiśniakowski i *L. Gołembiewski*

Krakowskie-Przedmieście Nr. 6 wprost Św. Krzyża

tamże **Zabawki** pouczające, urozmaicone i oryginalne, oraz **Zajęcia**, kształcące umysły młodociane, a zarazem ciekawe.

26 28